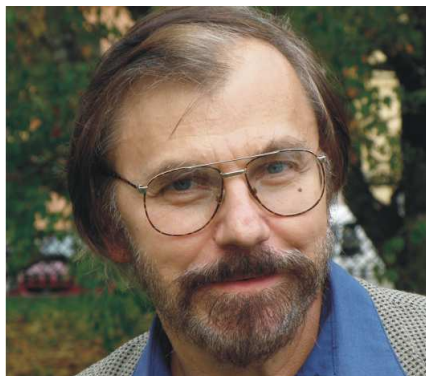


Listy do Pani A. (72)



Milczenie między słowami

Miła i Droga Pani!

Dla ludzi pióra, że się tak patetycznie wyrażę, nie ma chyba ważniejszej rzeczy, wyjąwszy własną twórczość, jak spotkania z czytelnikami, kontakty ze środowiskiem, z adeptami literatury. Dlatego z przyjemnością przyjąłem zaproszenie do Kazimierza Dolnego na poetyckie spotkania i warsztaty.

Dzień był piękny, słoneczny i ciepły, podróż więc przebiegła bardzo przyjemnie. Lubię jeździć samochodem, zwłaszcza wtedy, kiedy jest sucho i pogodnie, chociaż i w trudnych warunkach doskonale dają sobie radę. Wymaga to tylko nieco więcej wysiłku.

Kazimierz zawsze robił na mnie wrażenie. Może wolałem to miasteczko, kiedy jeszcze nie było tak odrestaurowane, zapleczka kamieniczek pełne były komórek, przybudówek, szop, składzików, gołębników... To wydawało bardziej naturalne. Teraz jest to ładny skansen, zadbane, wylizany, a tym samym pozbawiony tego osobliwego klimatu. Przypomina mi też Pilicę, miasteczko poniekąd moje rodzinne, z rynkiem, farą, klasztorem reformatów. Marzyłem sobie nieraz, że gdybym miał miliardową fortunę, to starałbym się z Pilicy zrobić centrum kultury i literatury, jakim niegdyś, w czasach Marii Kuncewiczowej, był właśnie Kazimierz.

Mieszkaliśmy w willi z pięknym widokiem na Wisłę. Pierwszego dnia miałem spotkanie z uczestnikami poetyckiego pleneru, opowiadałem więc o sobie, czytałem wiersze, odpowiadałem na pytania. To bardzo przyjemne, pozwala wprowadzić słuchaczy w świat, który jest mi najbardziej znany; w świat własnych doświadczeń, doznań, emocji.

Ciekawe to były spotkania i warsztaty. Poznałem między innymi Teresę Nietykszę, uroczą panią prezes Oddziału ZLP w Opolu, poetkę i plastyczkę Jadwigę Jaśkowiak. Przyjechał też Włodzimierz Klaczyński, prozaik, autor słynnego „Popielca”. Według tej powieści powstał głośny serial. Rozmowom o poezji przeplatany gęsto anegdotami nie było końca. Szkoda, że musiałem dosyć szybko wyjechać, ale czekały mnie w Warszawie obowiązki.

A do tych obowiązków należał udział w Targach Książki, dyżury przy stoisku ZLP, podpisywanie własnych tomików. Największy problem był z tym ostatnim. Owszem, ludzie podchodzili, oglądali, konfrontowali zdjęcie z siedzącym oryginałem, i odchodzili. Wysiedziałem się, ale

nie napracowałem się... Zresztą nie byłem w tym odosobniony.

Stadion Narodowy robi wrażenie swoim ogromem. Targi odbywały się na dwóch antresolach. Miejsca było więcej, niż w Pałacu Kultury. Jednak nie wszystkie wydawnictwa miały swoje stoiska. Wiele zrezygnowało ze względu na bardzo wysokie koszty.

Jakiś czas potem spotkaliśmy się we trójkę z Leszkiem Żulińskim i Janem Stanisławem Kiczorem. Posiedzieliśmy sobie przy wódeczce i tatarze, gawędząc o naszych problemach literackich, sytuacji literatury, czyli także naszej, jako notorycznie pauperyzowanych w Polsce autorów. Leszek, niestety, nie rusza się bez samochodu, więc musiał mu wystarczyć torcik bezowy. Ale my z Janem Stanisławem jesteśmy „ta szara wódeczna piechota”. Nie mogliśmy jednak przesadzić, bo o 18.00 wybieraliśmy się na spotkanie z Mieczysławem Wojtczakiem z okazji premiery jego książki „Wielką i mniejszą literą. Literatura i polityka w pierwszym ćwierćwieczu PRL”. Dzieło liczy ponad pięćset stron.

Spotkanie bardzo ciekawe. Wojtczak, jako ówczesny działacz polityczny wprowadził czytelnika w najrozmaitsze szczegóły dotyczące polityki wobec kultury i literatury w tamtych czasach, które tak łatwo hunwejbini dzisiejsi potępiają i opluwają. Nie żyli wtedy, ale tak wypada, więc zgodnym chórem powtarzają słusznie politycznie głupstwa. To prawda, że nie wszystko było idealne, kultura nigdy nie cieszyła się pełnym zrozumieniem, ale nie była wręcz tak tępiąca jak dzisiaj, kiedy twórcom kradnie się pieniądze nawet za umowy o dzieło, a wielu artystów i tak pracuje po prostu za darmo.

Wszystko wydawało się stabilniejsze, obowiązywały jakieś reguły gry. Nie było do pomyślenia, by jakiś gangsterski decydent kradł pełnymi garściami i zarazem uprawiał chamską propagandę sukcesu, czy inny przygłup obrażał zagranicznych gości przybywających z oficjalnymi wizytami państwowymi, albo jakaś zidiociąla starucha robiła zamieszanie na cały kraj swoimi kretyńskimi pomysłami. Nie mówię, że w minionej epoce było idealnie, że zmiany były niepotrzebne. Przeciwnie, ale kto przypuszczał, że przy tej okazji dojdą do głosu aż takie szumowiny?

Jednak zawsze może być gorzej. Albański poeta i tłumacz, Mazllum Saneja na spotkaniu z okazji promocji książki Fatosa Arapięgo, którą to książkę tłumaczył Mazllum z polski, opowiadał o życiu w Albanii, dramatycznych losach artystów, o rozpacy i beznadziejności, o licznych zbrodniach reżimu. Pomyślałem sobie, że tam dopiero mają powody czyniące życie prawie nie do zniesienia. U nas decydenci złodzieje, skretyniali ideolodzy, to zaledwie nic nie znaczący plankton wobec tamtych wielkich zbrodniarzy. Staram się w tym miejscu zachowywać spokój, którym pragnę obdarzyć i Panią.

Tam – jak opowiadał Mazllum – poeci w zasadzie nie mają przyszłości. Kto bowiem rozpozna ich wiersze, a kto je przeczyta? U nas pod tym względem jest lepiej. Ukazują się książki, czasopisma – to nic, że głównie niszone – portale internetowe są pełne wierszy, grafomańskich bo grafomańskich, ale i wśród nich znajdują się perełki. Ukazały się właśnie „Ogrodowe peregrynacje”, antologia forum internetowego „Ogród ciszy”.

Znalazły się tam utwory dwudziestu ośmiu autorów. Można powiedzieć, że przecież pisać każdy może, raz lepiej, ale przeważnie coraz gorzej, w zadufaniu i wierze w swój genialny

talent. Chaos, wynikający z łatwej dostępności do publikacji internetowych, w konsekwencji prowadzi do obniżenia poziomu tej przeciętnej „produkcji”, do której potrzebna jest tylko kartka papieru i długopis. Kto by się przejmował jakimiś lekturami, wskazówkami udzielanymi przez bardziej doświadczonych i uznanych poetów i krytyków!

Tymczasem w „Ogrodowych peregrynacjach” widać dobre opanowanie warsztatu poetyckiego, zręczność stylistyczną, wycucie formy. Od tej strony wiersze są bez zarzutu (nawet jeśli treść niektórych tekstów nie bywa już tak udana i nie dorównuje formie). Dbalnością o poetyckie słowo różni się te wiersze od masowego poezjowania internetowego, często niezbornego, uduziwnionego, pozerskiego.

„Ogrodowe peregrynacje” stanowią świetną wycieczkę po obszarach poetyckich, pokazują ich różnorodność i bogactwo, głębię ale i miślność, chęć, siły i zamiary autorów znajdujących się u początku swojej twórczej drogi. A podążanie nią nie równa się samozadowoleniu i zadufaniu, ale ciężkiej, mozolnej pracy i pokorze wobec poetyckiego tworzenia. Nikt jednak nie zagwarantuje, że każdy, kto sięga po długopis zostanie od razu poetą. Ilu autorów – i to często budzących nadzieję – wykruszyło się, nie wyszli poza swój debiutancki tomik, o ile w ogóle zadebiutowali książkowo. Mówię o tym liczne almanachy, które ukazywały się w epoce opisywanej przez Mieczysława Wojtczaka. Tak było, jest i będzie. Niech Pani zwróci też do prasy międzywojennej. Ile tam jest wierszy pisanych przez poetów, których nazwiska są dzisiaj kompletnie anonimowe. A pocztę literackie w ówczesnej prasie, a także w powojennym „Życiu Literackim”, pokazują ile osób brało się do twórczości. Tylko wtedy odpadali. Dziś mogą bez ograniczeń publikować w internecie. A nawet wydawać opasłe tomiściska. Narzeka się też na uduziwnienia w poezji. Panią też zapewne je denerwują. Tymczasem jest mitem, że prawdziwa poezja musi być uduziwniona. Kiedy bowiem mamy do czynienia z autentycznym talentem, wyrazistą, oryginalną osobowością, to i wiersz będzie oryginalny, naturalny, bo wyraża wrażliwość i specyficzny sposób widzenia świata danego autora. Może być prosty, albo skomplikowany, nasycony elementami filozoficznymi, albo skupiać się na poetyckim obrazie, ale będzie czytelnym, logicznym, kompozycyjnie przejrzystym. Wyłącznie miernoty i beztalencja silą się na nic nie warte uduziwnianie. Po co piszą? Nie wiadomo. Lepiej wzięłyby się za mycie okien czy froterowanie podłóg.

Takie refleksje nasunęły mi się po spotkaniu ze Zdzisławą Kaczmarek, poetką poznańską, w Bibelotach. Jej świetne wiersze, może kameralne, są ekspresyjne właśnie dlatego, że w nich jest cała poetka ze swoją wrażliwością, delikatnością, a zarazem siłą.

Poetyckie słowo, choć najbardziej zbliża się ku Niepoznanemu, nawet przecież ono przypisane jest ograniczonym prawom i porządkowi tego świata. Pozostaje milczenie, owa przestrzeń pomiędzy słowami, w której można dosłuchać się czegoś, co istnieje wewnątrz... I to właśnie milczenie stanowi siłę wierszy Zdzisławy Kaczmarek. Wydawało mi się, że Pani była na tym spotkaniu. Jeśli nie, to polecam poezję autorki „Ptaków pustych gniazd”.

A tymczasem gorąco Panią pozdrawiam i życząc słonecznej pogody –

Stefan Jurkowski